

MORMONI.

We wszystkich doktrynach mistycznych połączonych z religiami najdawniejszej starożytności, znajdujemy smutną i straszną jedność co do głównych początków i zasad, jakoto: ukarania pierwszego grzechu, potrzeby expiacyi, pracy i trudu nałożonych człowiekowi, wspomnienia jakiegś strasznego katastrofy w której ród ludzki zaginął.

Ztąd pochodzi że wszystkie rody ludzkie chciały zatrzyć pierwotną plamę. W miarę organizowania i rozwijania się społeczeństw, wyłonił się naturalnym porządkiem rzeczy podział na kasty (mianowicie w organizacyi pierwotnej), oparł się on po części na podziale naturalnym, na podziale wypływającym z nierówności ludzkich intelligencyi. W zasadzie podział ten był moralny i religijny, bo opierał się na *inicyacyi* religijnej. Z upływem wieków, jakkolwiek dwie te zasady kardynalne rozmaicie wzrosły, lub rozmaicie się zatarły, pozostały jednak na dnie dwa dogmaty; ten mianowicie w religii: że w przyszłym życiu człowiek otrzyma nagrodę lub karę za swe tutaj postęпки na ziemi; i ten drugi społeczny, którego się najzgorzalszy republikanin nie wyprze: że niema ludzi równych sobie zupełnie, bo rozwój umysłu, talent, geniusz, zasługa, zawsze stwarzają nową hierarchię. Nagle, w połowie XIX wieku, w środku przesiąkniętej nowymi ideami Ameryki zjawia się lud, naród, garstka, kasta czy sekta, która ustrojem swoim społecznym czy religijnym obala z gruntu dawne historyczne podstawy, która służąc za nieznaną dotąd i nowy *experiment*, w przyszłym życiu widzi bezwarunkowo szczęście i wesele, a w tém wyrzeka się odznaczeń i wyższości, poddając się kornie, fanatycznie pod wolę i wyroki jednego naczelnika wybranego ze swego grona. Sekta ta zwie się Mormonami.

Wychodząc już choćby ze stanowiska nauki historycznej, i z interesu ogólnie ludzkiego; nie może podobne zjawisko nie obchodzić myślącego człowieka, jakkolwiek odgraniczono go od miejsca wydarzeń tysiącem mil, zupełnem zabezpieczeniem od

możliwości szkodliwego wpływu, i odmiennością tradycyji religijnych i narodowych. Mormoni, ci odszczepienicy bieżącego stulecia, rzucający rękawicę ustalonemu dotąd porządkowi, skryształizowanemu już fermentowi dziejowemu, przyjętemu już i przyznanemu porządkowi świata więcej i mniej cywilizowanego, to zawsze rzecz godna uwagi i zastanowienia, to zawsze moment który nie może przejść mimo wiedzy poczuwających się do tego, iż są ogniwami jednego wspólnego łańcucha ludzkości. Z tej wychodząc zasady, nie wahamy się podzielić z czytelnikiem, krytycznym poglądem na tę sprawę, popartym najdokładniejszymi i najnowszymi źródłami jakie się zebrać dało; tém mniej się wahamy że rozwielenie Mormonów w środku Ameryki potrąca o kwestyę polityczną nie małego znaczenia—o czém pomówimy obszerniej w samym ciągu opowiadania.

I.

Józef Smith, założyciel sekty Mormonów urodził się w roku 1805 w Stanie Vermont, hrabstwie Windsorskiem. Zdaje się, że był wizjonerem, lecz przedewszystkiem oszustem. Ojciec jego miewał także wizye, jak równie i matka która uważała się za cudownie wyleczoną z śmiertelnej choroby, skutkiem czego tłumaczyła Biblię według swego widzi mi, miewała objawienia, rozgłaszając, że wszystkie religie fałszywą idą drogą. Otóż i dosyć przygotowań, ażeby zamącić głowę dziecku marzydlami. Nadto, młody Smith nie miał ani ukształcenia, ani zdolności sądzenia rozsądnie. Trochę czytać, pisać i rachować, to było wszystko, czego go nauczono. Utrzymywał się z ręcznej pracy za najem dziennym, a ożenił się z córką restauratora. Umysł zapalał się łatwo, gdy przy tak lichem ukształceniu, ma się tylko do czynienia z Biblią, do której jako komentarz użytą jest polemika gadatliwych dzienników, wrzaski kłócących się sekt, i natchnienia słabej własnej głowy. Nadto trzeba tu wziąć na uwagę stan umysłów w Ameryce: uczeni i literaci tamtejsi tworząc małe kółko dyletantkie, stoją odosobnieni bez wywierania jakiegobądź wpływu na opinię publiczną. Amerykanin jest niepodległym, więc stolarz stawia się na równi co do mądrości z historykiem, krytykiem, filozofem czy teologiem z profesyi. Wrota stoją otwarte na oścież wszelkim innowacyom religijnym. Obliczono w samym Nowym-Jorku sekt przeszło 150, a nie obliczono jeszcze wszystkich. Tkwi już w nasie pewien zarys mistycznego szału; kupcy, plantatorowie, negocyanci, słowem ludzie najpozytywniejszych zatrudnień, ludzie biegli przedewszystkiem w sztuce rozmnażania dolarów, schodzą się na zgromadzeniach zwanych *shoutings*, gdzie prawią kazania, płaczą, modlą się, czują zetknięcie się z duchami, i spowiadają swe grzechy publicznie a z wielkim jękiem. Najgłębiej poruszył Smitha tak zwany *revival* odbyty w Manchester

wtedy gdy miał lat 15. Przypatrzył się tam najrozmaitszym sektom, jak dyskutowały ze sobą, odprawiały kazania, jak się nawzajem podniecały. *Revival* na które zjeżdżają się z bardzo daleka, są to metody rozpalania się i podniecania, wywołujące często extazy, zawsze prawie entuzjazm, często zaś choroby umysłowe. Smith wyszedł ztamtąd zmieszany, jakby opętany potrzebą religii a niewiedzący którą wybrać. Wkrótce potem schronił się do lasu, i miał widzenie. W trzy lata potem, miał drugie. Objawienia rozpoczęły się na dobre, tak że jeżeli podaniom wierzyć można, miewał je codziennie w chwili każdego ważnego wydarzenia. Trzeba się wyrzec wszelkiego sceptycyzmu i krytyki, ażeby pojąć co się dzieje w podobnych głowach. Przypuszczalnie sądzić można, że popadł w podobny stan co Mahomet. Nienk, uparty, imaginacyjny, przejęty był jednak wielką ideą, powtarzając ją zaś często innym, wmówił ją nareszcie w siebie i nie umiał już odróżnić kłamstwa od prawdy. Podobnie dzieje się z aktorem, który przejęty swą rolą, rozplywa się wreszcie we łzach nieudanych. Istotnie też, patrząc na jego życie i śmierć, potrzeba wierzyć, że sam uwierzył w bajkę którą wymyślił.

Wymysł ten czy bajka, zdradza się najgrubszym szarlatanizmem z jakim kiedykolwiek ośmielono się wystąpić. Takiego fałszerstwa niema nawet w Koranie. I tak: w r. 1827 anioł objawił nowemu reformatorowi, że Ewangelia napisaną jest na blaszkach złotych ukrytych na wzgórkum Cumorah, razem z parą okularów dyamentowych, z pomocą których można je odcyfrować i przetłumaczyć. Prorok udał się tam, widział je; w cztery lata potem anioł dozwolił mu blaszki zabrać, które jednak już w roku 1838 ukrył napowrót dla przeszkodzenia proffanom pragnącym sprawdzenia. Dalej przekopował pismo owych blaszek, które jest po prostu pismem fantazyjnym, naśladującym nieźle kalendarz meksykański, i wziął się do przekładu; lecz ponieważ sekretarz jego skradł mu 100 pierwszych kartek przekładu, przyszło mu przeto natychmiast rozsądne objawienie nakazujące mu rzecz tworzyć na nowo, ażeby znów profani nie odwazyli się porównywać obydwóch kopii. Po ukończeniu przekładu, udał się z trzema przyjaciółmi do lasu, gdzie mu znowu anioł objawił, że owe blaszki pochodzą od Boga, i że tekst jest ścisły i dokładny. Po takim zapewnieniu, podpisali wszyscy certyfikat, który później podpisało innych ośmiu świadków. Prorok postąpił ostrożnie, jak mało który notaryusz. Nareszcie ukazała się księga; poprzednio tylko nowe objawienie nakazało jednemu z uczniów spieniężyć cały majątek na zapłacenie kosztów druku. Teraz pytanie, co zawiera ta księga, czém ona jest właściwie? Jest ona opowieścią fantastyczną, obejmującą roczniki dawnych ludów Ameryki, którzy jak wiadomo, pochodzą od Hebrajczyków osiedlonych tamże po zbudowaniu wieży Babel i po niewoli Babilońskiej. Według Smitha napisaną została około r. 420 przez Mormona i zakopaną na wzgórzum, gdzie ją właśnie znalazł w 1400 lat potem. Rzeczywiście trudno o kompilację

bardziej płaską, pospolitą, i luźniejszemi zapełnioną anachronizmami, sprzecznościami i błędami gramatycznymi, a co gorsza to, że nie jest ona nawet oryginalną ale wziętą z fantazyi Salomona Spaldinga, który ją wymyślił dla zabawki w r. 1809. Wygląda ona więc na przeróbkę z jakiego starego romansu.

Ogromna ilość objawień stała się dalszym komentarzem i dopełnieniem, aż jeden z uczniów Orson Pratt ułożył całość w system. Jest on taki: „nie ma ducha, wszystko jest materją, każda cząstka materji obdarzona jest siłą i rozumem, i istnieje po całą wieczność. Najintelligentniejsza (cząstka) która jest Bogiem Ojcem, uorganizowała inne. Pod przestworzami Boga Ojca jest wiele innych bogów, którzy stancją władzę najwyższą i ulepszą światy. Człowiek jest jednym z członków tej wielkiej rodziny. Jest on zaszczipiony w niebie przez Boga i na Jego podobieństwo. Tam otrzymuje pierwsze swe wychowanie, tam cieszy się krewnymi niebiańskimi. Ztamtąd przysłany na ziemię, gdzie przywdziewa powłokę śmiertelną. Wyszedłszy z tego ciała, wchodzi w świat trzeci, który jest światem duchów. Nareszcie powraca do nieba, zaopatrzony ciałem wiecznem z mięsa i kości, z pomocą którego je, pije, kocha się, działa, myśli i używa wszystkiego, czego można użyć. Ażeby człowieka doprowadzić do tego stanu doskonałości, trzy dano objawienia: Mojżesza, Chrystusa i Smitha. Tainte były przygotowane, to stanowe. Celem ostatniego jest „złączenie wszystkich sekt węzłem miłości.”

Pomijamy dalsze wywody i przepowiednie co do zmartwychwstania np., które według Smitha ma nastąpić w r. 1890, a które chyba o tyle jest ciekawem, że wszystkie narody staną się wówczas siostrzycami, że *wszędzie będą koleje żelazne i telegrafy*, że świat cały będzie miał jedną stolicę główną, jeden rząd, jedną świątynię, jedną wiarę i jeden chrzest.”

Marzydła te przypominają cokolwiek czasy pierwszej epoki chrześcijaństwa, w której każdy tworzył sobie wiarę z marzenia.

W Mormonizmie przeto możnaby się dopatrzeć materializmu XVIII wieku, śladów panteizmu niemieckiego, zarodków socjalizmu, spirytyzmu, krótko mówiąc, bardzo wielu ogólników wypowiedzianych z emfazą, a mających pretensję do dogmatu. Doktryna ta, jak słusznie powiada jeden z znakomitych krytyków Mormonizmu, jest „religią szewców i mularzy wychowanych na Biblii, a trzymających się za pośrednictwem gazet na wysokości nowoczesnego ducha. Bóg obleczony ciałem, dobrze się im wyobraża. A potem, jest to wielce przyjemnie mniemać, że się jest świętym, że się będzie panować tysiące lat na ziemi, że się zakończy życie w otoczeniu kobiet i wielu innych przyjemności.

Smith zaczął od nawrócenia swych braci, swego ojca i matki;—z pięcioma wiernymi ustanowił kościół w d. 5 kwietnia 1830 roku. Dnia 1 czerwca tegoż roku było ich już 30-tu, wielu popadło w ekstazę, prorokowało, oglądało otwarte niebiosy; nawrócenia stawały się liczniejsze, uczniowie rozechodzili się na wszystkie strony, wieścić nową Ewangelię niewiernym.

W następnym roku, dla szybszego rozszerzenia swęj wiary, założył dziennik i wydał *Księgę objawień*. Przełożył na swęj spósób Nowy Testament, obrał w hrabstwie Jackson miejsce na przyszły Syon, ustanowił zakon Melchizedecha. przepisał budowę świątyni. W d. 22 czerwca 1833 r., dar biegłości w językach objawił się po raz pierwszy między świętymi, (tak się przezwali reformatorowie). Przepędzili noc całą na rozmowie językami których nigdy przedtęm nie znali. Dar ten dwojakiego był rodzaju: jedni mówili nie rozumiejąc tych języków, drudzy rozumieli je niemówiąc nimi. Równocześnie, objawienia wzmogły się. Smith kupił egipski papyrus, tłumaczył go, znajdując w nim autentyczne pisma Abrahama i Józefa. Uczniowie jego byli tyle gotowymi do ofiar, że już w r. 1836 mógł ukończyć świątynię Kirtland. Kosztowała go 40,000 dolarów. W dniu tym ukazali mu się Mojżesz, Elias i Elizyusz oddając mu klucze kapłaństwa. Kilku uczniów widziało, jak aniołowie podczas ceremonii zasiędlili pomiędzy nimi. Przez pięć dni trwały te extazy i rozkosze duchowe. Nowa religia szerzyła się i ustalała, a Smith podtrzymywał ją dwojakim talentem: organizatora i zręcznego negocyanta. Obrął siedzibę w *Nauvao*, które wówczas składało się z 6-u chałup, gdy już w rok potęm składało się z 250 domów mormońskich. Cudu tego dokazały: zmysł praktyczny Amerykanina i jego obrotność. Reformator otrzymał od rządu Illinois kartę inkorporacyjną i przywileje czyniące Nauvao miastem wolnęm. Teraz stworzył on hierarchię, zebrał milicję, założył towarzystwo rolnicze i przemysłowe, przewodniczył podczas obrzędów, wymierzał sprawiedliwość, postępował za zgodą ogółu, jak prawdziwy naczelnik państwa. Mieszkańcy tego kraju rodzają się organizatorami. Poczęto się z nim rachować. Generał Bennets upraszał go o poparcie jego kandydatury na prezydencję kraju Illinois, i nazywał go nowym Mahometem, wyższym od tamtego i od Mojżesza. W r. 1844 miał kazanie w obec 20,000 słuchaczy. Ośmielił się nawet pretendować o najwyższy urząd w Stanach Zjednoczonych, posławszy w tym celu w różne strony Stanów 244 misyonarzy, i ogłosił program reform, który nieoznaczonością przyrzeczeń, oryginalnością cytat chaldejskich, elastycznością tyrad patryotycznych i liberalnych, zdolnym był pokusić uboższych duchem, którzy przecie składają większość rodzaju ludzkiego. Do tęj godności wyniosło go prześladowanie.

Słusznie powiedziano, że fanatyzm to krzemień: im go więcej uderzać, tęm silniejsze daje iskry. I tak w r. 1832 zbito Smitha, oblepiwszy go pierzem i smołą, zabawka ludowa praktykowana w Ameryce. W następnym roku, Mormonów z Missouri atakowali sąsiedzi, ci usiłowali się bronić, lecz na żądanie gubernatora, złożyli broń. Wtędy skorzystano z chwili, zabijając ich jak dzikiego zwierza. Ocaleni, uciekli w hrabstwo Clary, lecz i ztąd wygnała ich nienawiść publiczna. W Missouri uformowała się liga celem wygnębieńia wszystkich. Rabowano do-

my, męża Amandy Smith i kilkoro jej dzieci zabito w jej oczach. W *Hacons Mill* w 1838 r. ubito 400 osób, a Mormoni postradali wszystkie ziemie które ich kosztowały 20,000 dolarów. Żądali sprawiedliwości i opieki, gubernator odpowiedział im ze opinia publiczną jest przeciw nim, a wreszcie kazał uwięzić Smitha. Udano się po opiekę do prezydenta Stanów Zjednoczonych Van-Burena. Ten odpowiedział im: „wasza sprawa słuszną jest, lecz nie mogę nic wam dopomódz, inaczej straciłbym głosy prowincyi Missuri.” Mormoni przeto wyemigrowali z Illinoia i wtedy założyli miasto Nauvoo, gdzie wzrośli w potęgę. Wtedy także oburzenie publiczne przeciw nim wzmogło się do wysokiego stopnia. Trzydzieści ośm razy stawiano Smitha przed trybunałami, a zawsze uwalniano go dla braku dowodów. Nienawiść nieprzyjaciół potęgiała tem bardziej, że Mormoni nazywali się „dziedzicami wybranymi tej ziemi, a świętymi w przyszłości.” Z pięcioma armatami ruszono na Nauvoo. Gubernator chcąc zapobiedz wojnie domowej, uwięził Smitha. W dniu 26 czerwca 1844, setka ludzi przebranych i uzbrojonych obiegła drzwi więzienne; straż uprzedzona, wpuściła napastników. Smith wypalił do wpadających z rewolweru, i rzucił się ku oknu chcąc tamtędy uciec; lecz w tej chwili trafiony kilkoma kulami spadł z wysokości 20 stóp krzyżując: O Panie, Boże mój!

II.

Gdy się w mieście rozeszła wieść o śmierci proroka, przyzwiedziano ogólną żałobę. Mormoni ze łzami i jękiem, poszli szukać ciała swego męczennika, przechowawszy je potajemnie z obawy zemsty wrogów. Na meetingu w r. 1845 postanowili kraj opuścić, czując że tu nie ma dla nich ni spoczynku, ni opieki.

Zanim opowiemy przygody wędrowki, jakiej drugieć nie ma sobie równej w historii, nie możemy się wstrzymać na tém miejscu od kilku uwag.

Nie łatwiejszego jak szyderstwo i obrzucenie śmiesznością tych sekcjarzy. Szarlataństwo niezgrabne, oszustwo pospolite, wymysły komiczne założyciela, zdolne są rozśmieszyć dzisiejszy umysł trzeźwy, lub oburzyć ultra wiernych którejbądź odnogi z ustalonych religii chrześcijańskich. Rękopism Spaldinga, miecz Labana, mumia egipska, aniołowie odwiedzający—to baśnie dobre dla małych dzieci lub prostaczków. Podobnie niektóre instytucje Mormonów polityczne i społeczne obszerne dają pole do żartu i komicznej interpretacji; lecz przyznać trzeba, że jeżeli życie i czyny reformatora odkrywały słabą stronę nowej sekty, to śmierć jego stała się jej stroną silną i wzmacniającą. Na szczęście, nie żył on tak długo, iżby przygody jego życia były powszechnie znane, iżby słowa jego przeciwników: „patrzcie na jego twarz bezwstydną, czyż w takiej może odbić się coś boskiego” wpływowo podziałać mogły. Smith, przeczuwając instynktem

sekcjarza, że ziarna nowej nauki najlepiej rozplenią się we krwi męczenników, wchodził umyślnie i ustawicznie wrogom swym w drogę. Trzymał się on zasady, że chcąc być prorokiem, trzeba być kamienowanym; to też stało się życzeniom jego zadość. Trzydzieści ośm razy sądziły go trybunały, a zawsze uniewinniały; w tém już tkwi próbka jego zręczności, bo każde przesładowanie zwiększało szeregi prozelitów.

W najbliższe otoczenie Smitha wkradła się niezgoda, a wielu z świętych groziło że prorok ich zagląda potajemnie do butelki. *Rigdon*, towarzysz i współnik który pierwszy ogłosił romans *Spaldinga* jako przykład blaszek złotych, opuścił go i oszustem obwieścił. Inni poszli za jego przykładem, a lubo udawało się zjednać reformie zwolenników żyjących w dalszych okolicach a więc nie znających reformatora osobiście, to jednak rozprzęgłaby się sekta, gdyby mieszkańcy Wschodu nie przekształcili nieumyślnie proroka na męczennika. Banda złoczyńców skutecznie wykonując rozkaz prawa, zabiwszy go, podbudziła ducha całej sekty. Odtąd tysiącami liczono tych, którzy wierzyli misjonarzom, ci zaś, ponieważ prawo nie karało zabójców, rozgłaszali, że niebo pomści się tego morderstwa. Śmierć Smitha, pokryła jego błędy; zapomniano o jego nieuctwie, chuciach, chytrości, łupieżctwie, ambicyi, a pamiętano tylko o męczeństwie, które poprawdnie, wyżej wzniosło nową doktrynę, aniżeli całe życie pełne świętości i poświęcenia uczyniłoby to było w stanie. Przypadki takiego proroka, kłójącego się ze swemi apostołami o dług ciążący nowego kościoła, przekomarzającego się ze swą żoną *Emmą*, która nie chciała uznać doktryny: „żon duchowych;” proroka ustawicznie posądzanego o złodziejstwo i pijaństwo, trafiały się już i w dziejach starożytnych, nigdy jednak nie były natury zdolnej zachwycić praktycznego Amerykanina. Atoli dzięki tak na czasie popełnionemu morderstwu, oszust i złodziej przemienił się w prawdziwego proroka, w następcę—jak głosili uczniowie—*Mojżesza* i *Chrystusa*.

Nowym następcą zabitego był *Brigham Young* pospolitego pochodzenia, ale umysłu bystrego i bardzo zdrowego rozsądku. Za jego rządów ucihły zatargi sekty, co więcej, ścisnęła ona swe zerwane szeregi, skupiła się w jednym celu, podwoiła gorliwość, rozszerzając daleko dzieło swjej propagandy. Za poradą to *Younga* uznającego że po ostatnich zamieszkach niepodobna jest pozostać na miejscu, postanowiono opuścić brzegi *Mississipi*, a rozpiąć namioty w jednej z odległych puszczy zachodniego kraju, w którym ziemię deptali tylko czerwono-skórni *Indianie*, czyli w puszczy amerykańskiej nie należącej do nikogo. Podziwiać już trzeba samą zuchwałą śmiałość postanowienia. Poza łąkami Zachodu, poza górami skalistemi, rozciągało się pustkowie skaliste i słone, a tak strasznie nagie i wyschłe, że nie podbudziło nigdy jeszcze niczyjej chciwości, niczyjej ochoty przywłaszczenia. Ziemię tę oddał jeden z papieży w średnich wiekach koronie

hiszpańskiej, która znów oddala ją jako rzecz bez wartości republice Meksykańskiej. Lecz ani Hiszpanie ani Meksykanie nie ośmielili się tak daleko zapuścić, ażeby w końcu osiąść to odłogiem leżące pustkowie. W pośrodku pustyni płynęło przyczajone morze martwe, straszniejsze od *Bahr-Lout* morza Lota. Jezioro zawierało w sobie trzy części wody a jedną soli; przystanie których kończyny tam dochodziły, czuć było zgnilizną, źródła okoliczne dostarczały wody słonawej, a brzegi w obrębie kilkumilowym oblepione były solą białą. Brzegi te nie mogły iść w porównanie nawet z Ghorem w Syrii; były jeszcze obrzydliwsze, bo miały wodę stojącą, nieczystą i ograniczoną bagniskami i trzęsawiskami, z których wydobywały się niezuosne wyziewy. Na uwieńczenie całej tej nędzy dodać trzeba, że ta puszczca soli, kamienia i zgnilej wody, była jakby zamknięta pasmem gór, na wschód skałami *Skalistemi*, na zachód górami Sierra-Nevada, których szczyty tak wysokie jak Mont-Blanc i wiecznie pokryte śniegiem, zakrywały ją od reszty świata. Czerwono-skórni Indianie waleśający się w tych bagnach w poszukiwaniu korzonków lub robaków, liczyli się do najdzikszych i najbardziej upośledzonych moralnie z pomiędzy swęj rasy. Gromada żubrów, stado mewek, chmara szarańczy ożywiały tę płaszczynę w rzadkich chwilach. Na wiosnę, gdy cokolwiek zieloności pokryło powierzchnię ziemi, gdy lekki meszek trawy lub kwiatek szalwii leśnej lub kilka zblakłych słoneczników odskoczyło od ziemi, natychmiast jakby za magicznem skinieniem zjawiały się szarańcze, ogalając z listków najchudsza roślinkę, najmniejszą gałązkę. Nie ujrzyć tam było ni znaku lasów, roślina wyrosła przypadkiem, miała barwę i życie chorobliwe; szalwia i słonecznik, obie rośliny nie mogące służyć za pożywienie człowiekowi a które nadto uważano wówczas jako wielce szkodliwe dla bydła, kwitnęły jedynie w tej ziemi niewdzięcznej, wypalonej i przeklętej.

Podróżnicy którzy przebywając po przesmykach gor *Wasath* rzucili okiem na tę okropną krainę, opowiadali że życie tam zamarło, że nie było tam ani zieloności, ani strumyka, ani źródła, a głębizny czy ziemia wydawała sól tylko.

Opuszczono i skazano niejako tę olbrzymią przestrzeń ziemi na osierocenie, ponieważ nie wydając ni drzewa ni świeżej wody, nie pozwalała się wyżywić człowiekowi cywilizowanemu, skąpiąc mu schronienia. Tego atoli zdania nie podzielał Brigham Young. Pamiętał albowiem doskonale, że gdy który z braci jego zapuścił rydel w ziemię, czyto w Kirklandzie, w Ohio, czy w Missouri, czy w Nauvoo w Illinoi, zawsze wynadgradzało tę pracę obfite żniwo, a nowy prorok, ufając swym muskularnym członkom, swęj potężną prawicę, swęj nieugiętej woli o której miał się sposobność przekonać, nabrał wiadomości i przekonania że nawet ta przeklęta dolina nie poskąpi mu zasłużonego żniwa. Young, stolarz z powołania, umiał zrybać drzewo, obciosać polano, zbudować wózek czy taczki, naostrzyć kół, słowem stworzyć tymczasowe schronie-

nie. Wiedział także, że *święci* któremi miał rządzić nie zlekąną się ani pracy, ani mozółu. Byli to po większej części rzemieślnicy nowej Anglii lub rolnicy Zachodu, to jest ludzie którzy gotowi byli zawsze przyłożyć ręki do czegoś, nie cofając się przed niczem. Odpowiednia liczba anglików czy francuzów, zginęłaby usiłując tylko przebyć te płaszczyzny i te góry; lecz każdy zrodzony w Ameryce rodzi się do wszelkiej roboty, do wszelkiego przedsięwzięcia; jest na zawołanie bankierem, rzeźnikiem, stolarzem, komisantem, mężem stanu, ujeżdżaczem koni, wszystkiem czem chcecie. Jest to człek pełen pomysłów, i tak: jako piekarz stawia wam mosty, jako kaznodzieja ujeżdża dzikiego konia, jako adwokat smaży wam przepyszne ciastka.

Brigham Young nie tań przed sobą, że uczniowie jego twardej użycia doli przy przejściu tych wielkich nieurodzajnych płaszczyzn, przy spinaniu się na kupy olbrzymich kamieni zwanych gorami skalistemi; ale osądził swoim praktycznym rozumem, że najsrozsze cierpienia fizyczne nie zwyciężą człowieka który postanowił niebezpieczeństwu zajrzeć w oczy, z herkulesową pracą iść się w zapasy bez drgnienia, bez obawy śmierci. Przedewszystkiem zaś postanowił dać osobiście przykład. Lekkie wygnańców wózki mogły pomieścić dostateczną ilość żywności i nasion, a jakaś ilość *włhisky* wystarczała na poprawienie alkaliów morza gorzkiego wpływającego z przystani. W nielicznem gronie wygnańców znajdowały się mlęczarki, piekarki, szwaczki i praczki. Dzieciom nawet nie wolno było próżnować, gdyż małe amerykanki umieją doić krowę, a młode yankesy nezą się bardzo wczas powozić.

Oddział pionierów (z których wielu zamieszkuje jeszcze dolinę jeziora słonego) posłano naprzód, celem zbadania drogi i zdania sprawy, poczem Brigham wydał rozkaz pochodu. Natychmiast wszystkie rodziny w Nauvao poczęły robić przygotowania, zamysławiając przedsięwzięcie bez wahania podróż, jakiej drugiej historya nie zna od czasów, gdy Mojżesz przeprowadzał izraelitów z ziemi egipskiej. Zgromadzili naprędce zapasy, jarzyny, nasiona, i z tuzin beczulek z wódką. Poczem zaprzęgli swe muły i woły do swych wiejskich wózków. Ci którzy byli zbyt ubodzy aby sobie kupić wóz lub bydło do dźwigania ciężarów, sporządzili taczki i wózki ciągnięte przez człowieka.

Ażeby uciec przed nieprzyjaciołmi, opuścili Nauvao w pośród najostrzejszej zimy, przechodząc Mississipi po lodzie i puszczając się w drogę daleką na mil tysiąc pięćset. Szli okolicą bezdrożną, pozbawioną mostów, wiosek, jednego choćby zajazdu, bez żródeł, gdzie nie ujrzyć było ani bydła, ani łąk, ani wykarczowanego pola. Według opowiadania jednego z wygnańców, pozostawili wszystko tam, skąd się puscili na wygnanie. Pozostawili: uprawione pola, ogrody, piękne domy zdobne dywanami, fortepianem i innemi przedmiotami zbytku. Dość powiedzieć, że przestrzeń jaką mieli przebyć, równa się odległości z Londynu do Lwowa, albo jak ktoś obrachował, sześćiorakiej odległości z Kairu do Jero-

zolimy. Przestrzenie jakie mieli przebywać, zaludnione były Pawniami, Shoshonami, wilkiem i niedźwiedziem, a przecięte wartkim strumieniem, i rozerwane kawałkami łańcucha gór. Stając u celu podróży, to znaczy po przecierpieniu tysiąca trudów, po przetrwaniu tysiąca niebezpieczeństw, znaleźli się wreszcie nad brzegami morza *martwego* kąpiącego dolinę niepłodną. Nową ich ojczyzną była ziemia skrapiana wodą słoną, było pasmo łąk zasiane gorzkawą solą.

III.

Dzieje tej podróży świętych, tak jak je opowiadają Young, Wells, Taylor i inni starcy którzy brali w niej udział, przeszywały boleścią serca słabe, lecz wzmacniają i hartują dusze odważne i silne.

Wówczas, gdy wypędzono Mormonów gwałtem z ich pól i mieszkań, dnie były krótkie i śnieg pokrywał ziemię gęstemi płatami. Z wyjątkiem trochę zapasów potrzebnych na drogę, niewielkiej ilości zboża i kartofli zachowanych na przyszłe zasiewy, potrzeba było wszystko na łup zostawić, więc domy które sami zbudowali, świątynię która już była na ukończeniu, i groby świeżo wykopane. Zimno mroziło ręce i nogi dzieciakom. Głód i pragnienie udreżowało młodych i starców. Potrzeba było, ażeby wyszukać kroplę wody, przebywać niezmierzone stopy piasku, w których wózki zagłębiały się po dyszel. Zjawisko naśladujące obszar wody, oszukiwało ich często swą złudną powierzchnią, a i wtedy nawet gdy się dowlekli do jakiegoś strumyka lub przystani, mogli się tylko napić wody gorzkiej, która nie była zbyt bezpieczną. Dnie trwały krótko a przeszywały mrozem, tem więcej że nie prócz namiotów z płótna nie chroniło karawany w tych nocach straszliwej zimy. Konie padały w drodze, choroba zaraźliwa wszczęła się między bydłem, tak iż mleko stało się rzadkością, a obawa ażeby mięsa nie zabrakło nazajutrz, nieomylną. Trzeba było pozostawić w tyle ubogich, starców i chorych z eskortą młodych ludzi, bez których trudno się wszakże przychodziło obejść.

Nie na tem ograniczały się straty, jakie wycieńczały siły wygnańców po pierwszym peryodzie wędrówki, gdyż w chwili gdy potrzebowali jak najwięcej rąk zdrowych i silnych, wybuchła wojna meksykańska, a rząd meksykański który nigdy nie czuł się dość silnym ażeby nad tymi wygnańcami rozciągnąć opiekę, nakazał im teraz dostarczyć broni i ludzi. Brigham Young odpowiedział jak przystało na dobrego patryotę, to jest pobłogosławił pięciuset mormonów, kwiat młodzieży, i kazał się im złączyć z armią.

Uszczupleni brakiem tak potężnego zastępu, przeprawili się wygnańcy przez Missouri na promie zbudowanym przez nich samych. Posuwali się naprzód w niezmierzoną okiem pustynię, za-

znacząc ile się dało swój pochod na karcie jeograficznej, rzucając lekkie mosty na wartkich wodach które im zagradzały drogę, zbierając trawę dla bydła i zasiewając zboże dla tych, którzyby tedy przechodzili później. Stawiali tymczasowe chatki w których się mogły przespąć dzieci, wydrążali lochy w ziemi, znajdując w nich ochronę przeciw śniegom. Karmili się nędznie, pili wodę niezdrową, dziczyzna jaką się im udało zabić na równinie jako: łos, bawół i antylopa, krew im zatruwała. Prawie całą *whisky*, którą wzięli ze sobą z Nauvoo celem poprawienia wody słonawej, zabrano im w drodze; wysłańcy zaś rządowi powybijali dna u beczulek pod pozorem że wygnańcy przeznaczają tę wódkę dla Indian, którym nie wolno było przedawać gorących trunków. Cztery beczułki uratował Brigham Young osobiście. Ten jedynie raz widziano proroka w niepohamowanym gniewie. Już beczułki przeniesiono na prom, gdy wtém celnik zjawił się i bez pytania począł wybijać klepki u dna. Skoro Brigham ujrzał podnoszącego młotek po raz drugi, dobył rewolweru, wymierzył doń zawoławszy:

— „Precz z ręką, bo przysięgam na żyjącego Boga, że skoro dotkniesz się tej beczki, zginiesz.”

Urzędnik zeskokczył na ląd, nie niepokojąc już więcej.

Dwie jeszcze grasowały choroby. Jedna objawiała się zbieniem twarzy na podobieństwo kredy, obwisnięciem bezsilném nóg i rąk, słowem, stanem rozpaczliwej martwoty; druga odpadnięciem skóry z rąk w taki sposób, jak gdyby ją obskrobano ostrzem noża, tysiącem bąbli na grzbiecie i króst na dolnej powiece, jakoteż oznakami skorbutycznymi na palcach. Prócz tego wielu chorowało w namiotach na dysenterję, a inni jeszcze na skorbut.

Wielu z świętych nie miało dość odwagi ażeby wytrwać aż do końca, wielu też padło z wysilenia a ciała ich zakopano w puszczy. Codziennie nowy pogrzeb, codziennie świeża żałoba. Śmiertelność zawsze jest wielką na tej drodze, nawet dzisiaj mimo porządných stacyi, w których można zjeść świeżo i zdrowo. Cóż dopiero było wtedy? Wygnańcy utracali braci setkami.

Gdy duch wątlęć zaczął, muzykanci grali arye wesołe i wojenne, a wnet łączyły się z niemi głosy wygnańców, zapominających o swęj nędzy. Za dnia śpiewali hymny, wieczorem tańczyli przy ogniach biwakowych. Wypędzono umyślnie smutek, ascetyzm i powagę tak z obozu jak z głowy. W liczbie rzadkich skarbów które uwieziono z Nauvoo znajdowała się także prasa drukarska i czeionki. Dziennik wydrukowany nad brzegiem rzeki wlewał słowa odwagi, i udzielał potrzebnych rad.

Po przebyciu piasków i przystani zaznaczonych odtąd na karcie pod nazwą Nebraska i Dakota, przybyli do stóp pierwszego szeregu tego nieregularnego łańcucha gór, z którego geografowie zrobili całą grupę nazwawszy ją *górami skalistemi*. Ani śladu ścieżki na tych przerażających wyżynach, piramidy śnieżne pokry-

wały wszystkie przesmyki. Jakimże więc cudem udało się świętym przebyć te szczyty, i powlec za sobą woły, wózki, zmuszeni nadto zatrzymywać się dla znalezienia żywności, dla upieczenia chleba, przygotowania posiłku, bez pomocy, bez przewodnika? Rozwiązania tej zagadki nie powtórzą wam nigdy starcy bez zalanania się łzami.

Najmłodsi i najodważniejsi szli naprzód, onito przepędzali niedźwiedzie, wilki, węzów grzechotników, onito polowali za łosiem lub dzikim rogaczem, uprzątając w ten sposób drogę kobietom i starcom. Nareszcie gdy osiągnięto szczytu szyi gór, można było przyjrzyć się całemu pasmu wyschłych płaszczyzn, łożyskom rzek powysychanych, brzegom bez zieloności, nizinom alkalicznym, bagnetom słonawym i ciasnym a węzowym wąwozom. Całe dnie, całe tygodnie, trwał ten pochód po przez te Sierry opuszczone, i po przez te doliny, które jakby chciały siłą wyprzeć ztąd człowieka! Zapasy się wyczerpywały, dziczyzna stawała się rzadszą, czerwonoskórni Indianie napadali, a jako cel podróży, osiągnięcia którego jeszcze nie byli pewni, rozciągała się puszcza bezwodna w której mieli zamieszkać.

Lecz ta srogość natury bynajmniej ich nie przestraszała. Nie rachowali oni nigdy na raj ziemski; wiedzieli bardzo dobrze, że nikt nie myślał nigdy zdobywać na Indianach tej krainy nędznej i dzikiej. Szukali spokoju i wolności, szukali miejsca któreby im pozwalało wejść w harce z naturą, mierzyć się z jej potęgą; a potem zwołać braci i wykrzyknąć: patrzcie, oto nasza ojczyzna!

Gdy już schodzili z ostatnich pochyłości, prowadzących do odludnego zamieszkania, zatrąbili na swych polowych rogach, a echo radosne rozchodzące się po dolinie zawtorowało pierwszy raz może od dawnego czasu, radosnemu biciu serca. Na pochyłości ponad Jordanem, tam, gdzie Brighamowi objawił się anioł, narysowali plan nowego miasta, i zbadali bieg wody kryjący się na szczytach. Ku wielkiej pociesze, nie tylko odkryli źródła świeżej wody, lecz i okolice leśne, pochyłości i wzgórza pokryte murawą. Nie stracono ani minuty. Brigham Young tak mawiał w podobnych razach: „Pierwszym obowiązkiem świętego, gdy się osiedla w tej dolinie, jest przygotowanie jarzyn, poczem hodowanie nierogacizny i drobin, uprawy ziemi i budowy własnego domu: reszta znajdzie się później.”

Taki to duch genialnej organizacji przewodniczył wygnancom. Stanąwszy u kresu bolesnej wędrówki, na krańcach dzikiej i wysuszonej puszczy, postanowili stworzyć z niej ziemię obiecaną, i rzeczywiście według pojęć i zasad Mormonów stała się im ona Kanaanem, w każdym zaś razie państwem niepodległym, niezawisłym od mocarstw sąsiednich, od intryg politycznych, od różnowagi, *juste milieu*, i t. p., to jest od medykamentów politycznych praktykowanych w starłej Europie.

IV.

Obrotność, zabiegłość, wytrwałość ręki zmieniły wnet fizyonomię tej doliny. Wodzie z wzgórkow kazano płynąć nowym biegiem, polom zasianym i odświeżonym plon wydawać, domom wyrosnąć z pod ziemi, bydłu, owcom i jałowicom spasać wykwiłą trawę przyległych wzgórz i łąk. Zaprowadzono warzelnie soli, tartaki, zaszczipiono sady owocowe obradzające, bujne w niedługim czasie, pobudowano drogi. Pastuchy mormońscy zagłębiając się w wąwozy odkryli sosny, bzy, drzewka wydające bawełnę, brzozy, bukszpan, czyli krótko mówiąc przepyszny materiał budowlany. Nowa Jerozolima powstawała z ziemi. Rozpoczęto budowę świątyni i wydaniem dziennika. Orzechowe drzewa i inne zasadzono w sprzyjających rozrostowi miejscach. Czerwono-skórni Indianie, którzy tak długo byli postrachem wszystkich podróżników Wschodu, ugłaskali się z pomocą podarków i dobrych słów, tak że w przeciągu kilku miesięcy stali się sprzymierzeńcami białych, których niedawno przedtem mordowali. Przekonano się też, że żywienie Indian mniej za sobą kosztów pociąga, aniżeli gniebienie. Ta polityka polegająca na żywieniu dzikich, polityka przyjęta przez Brighamą, utrzymała się odtąd aż do ostatnich czasów, z wyjątkiem trzech wypadków, wynikłych skutkiem nieporozumień.

Przez kilka lat musieli Święci ustawiczną toczyć wojnę z szarańczą i świerszczem polnym, tą plagą dawnej ziemi Chanaan; lecz dzięki mewkom jeziora i sidłom przez nich zastawianym wyniszczyli je, ocalając w ten sposób zboże i owoce.

Dwanaście już upłynęło miesięcy, a Mormoni trzymali się cało w tej puszczy. Nietylko że ich nie ubywało, ale owszem liczba wzrastała. Już i zarabiali pieniądze. Rok za rokiem, ludność się zwiększała a z nią i bogactwa, tak iż dzisiaj nazwiska kupców mormońskich znane są na giełdach: londyńskiej i newyorkskiej, a miasto ich jest jednym z cudów świata.

Jakiżże tajemniczej potędze przypisać ten zadziwiający wzrost społeczeństwa osiadłego w pustyniach? pozbawionego wszystkiego co zapewnia życie i bezpieczeństwo? Wszakże niedawno temu, dolina ta rodziła tylko szalwie i słonecznik, a wygnani przybyli z próżnemi rękami, nie wiedząc nawet jak uprawiać tę ziemię od której wyczekiwali zbawienia! Jakim cudem dopełnili Mormoni zadania, które inni koloniści Zachodu uznali za niemożliwe do osiągnięcia? Przebyli niezmiernie przestrzenie z najwyższym mężstwem, energią, w największej karności, bez szemrania i jęku; przebyli przeszkody, jakichby się uląkł inny najhartowniejszego ducha człowiek. Gdzie szukać źródła wytrwania? Powie kto: w fanatyzmie, my powiemy: w wierze; powiemy, że jeżeli zdolności fizyczne *Squattera* i *Trappera* (poszukiwaczy złota) znaczną tu były pomocą, to jednak główną sprężyną, głównym motorem olbrzymiej siły wytrwania, była ta wiara, bez

której nikt jeszcze nie wielkiego nie dokonał; wiara, że założą stolicę Boga, metropolię rodu ludzkiego: wiara, że są wskrzesicielami świata. Ta wiara czy, jak kto chce, ten fanatyzm, sprawiły, że Utah należy dziś do Younga i do tego ludu, że stanowią kościół o 200,000 duszach, i armię o 20,000 bagnietach. Wolno się śmiać ze Smitha, z bajek przez niego wymyślonych, z urządzeń społecznych i religijnych, ale mimo to, ten obóz fanatyków istnieje i coraz bardziej się rozwija. Mury nowej Jerozolimy już się wznoszą, dzieją się przyjacielmi świętych, rozliczne gromady misjonarzy każą w rozlicznych miejscach, a tysiące słuchaczy nie odwraca się ze wstrętem od Ewangelii „podług Józefa Smitha.” Nareszcie Amerykanie czują to najlepiej, że kwestyi mormońskiej nie można już tak zbywać śmiechem, gdyż nowy kościół stoi i trzyma się mocno, przestał już być marzeniem, efemerycznym zjawiskiem.

Święci mieszkający w Wielkiej Brytanii uważają obecne swe mieszkanie jako ziemię Egipską, jako ziemię wygnania którą pragnąć trzeba zamienić na ziemię szczęśliwszą. W ich oczach Ameryka jest Chanaanem, a miasto Utah nową Jerozolimą. Ubodzy, starcy i chorzy mogą umrzeć w dotychczasowej siedzibie, gdzie są, jak się wyrażają, w niewoli; ale bogaci, młodzi i zdrowi obowiązani są według wiary mormońskiej, podać ku ziemi obiecanej. Tysiące świętych emigruje z Anglii, jakkolwiek ich tam jeszcze tysiące zostaje. W Londynie, Liverpoolu, Glasgowie i innych miastach posiadają oni szkoły i kościoły, drukują książki i dzienniki, mało bardzo znane teologom londyńskim. Prasa angielska nie zajmuje się niemi, bo siedzą spokojnie, nie skarżą się na nikogo i na nic, i nie tworzą żadnego stronnictwa politycznego. W wyższem społeczeństwie angielskiem nie ma wyznawców mormońskich, więc też o Mormonach nie mówią, ale w Bostonie, Nowym Yorku, Waszyngtonie stają się oni strasliwą zagadką, nie wróżącą nic dobrego, a grożącą przemianą się w niepomiarłą potęgę. Już mianują swych deputowanych, już też i stawiają armie na stopie wojennej. Colfax, prezydent Ciała Prawodawczego, konferował z Youngiem, a kongres naznaczył komisyję specjalną zajmującą się sprawami Utah. Przyjdzie czas i to niedługo, że potrzeba się będzie rachować z mormonizmem nie tylko w izbach, uniwersytetach i sądach, ale i na polu bitwy.

Jak się zachowa w tym razie lud amerykański? Rozwiązanie tej zagadki nie tak łatwe, ponieważ nie rozstrzygnięto jeszcze jak dalece, tolerując religię, upoważnia się postępkowi wynikłe z tej religii. Mormonizm nie można dziś lekkomyślnie pomijać, gdyż w dziwaczności ich zasad musi się jednak mieścić jakieś ziarno prawdy żywotnej. Mormoni żyją i rosną w pomysłowości, ludzi zaś idących w górę z pracy i przemysłu, nie można nazwać szalonymi. Domy ich dobrze utrzymane, ulice czyste, ogrody przepyszenie uprawiane, pokój gości w ich miastach,

nie spotkać tam pijaka ani nałożnicy. Żadna sekta w Stanach Zjednoczonych nie założyła tyle szkół elementarnych. Widząc zaś ich sposób życia i wiedząc ich przekonania, podrażnieni może więcej jeszcze jesteśmy właśnie ich przymiotami, aniżeli bylibyśmy ich zbrodniami.

Mormoni dokazali rzeczy niepospolitej.

W pośrodku wolnego ludu stworzyli potęgę despotyczną, w kraju nie uznającym religii państwa, postawili kościół swój ponad prawa ludzkie; w łonie plemienia anglo-saksońskiego przyjęli ideje i wielką liczbę zwyczajów indyjskich. W dziewiętnaście wieków po Chrystusie, przywrócili obyczaj istniejący w Syrii na 1900 lat przed Chrystusem.

Z *wigwamu* Soshonów wzięli sobie modłę poligamii nie tyle starożytnego pochodzenia ile jest namiot patryarchy; Abrahama obrali sobie jako typ człowieka doskonałego, gdyż opuścił dla miłości Boga, dom swój, rodzinę i ojczyznę. Również Sara jest typem doskonałej kobiety, bo nazwała męża swego: „panem” i ustąpiła mu służebnicy Agar. Skutkiem czego upowszechnili zdanie, że nie mogą pobłądzić naśladować Abrahama, i że ewangelie, wszelkie prawa i instytucje ludzkie powinny być unieważnione, skoro się znajdują w sprzeczności z zwyczajami Abrahama. Depcząc nogami odkrycia umiejętności i doświadczenie historii, ogłaszają, że obowiązkiem jest człowieka cofnąć się wstecz, i przyjąć formę rządu kapłańskiego i ojcowskiego jaki istniał w Syrii, temu lat cztery tysiące. Odrzucają jako rzeczy niemające żadnej wartości, wszelkie zdobycze postępu wieku i myśli ludzkiej; jako: *wolność indywidualną, życie rodzinne, wolność słowa, równość w obliczu prawa, i im podobne.*

W zamian za te przywileje, wymagają karnego i ślepego posłuszeństwa, uznają wszechmoc człowieka bez ukształcenia i nauki, którego podoba się im uważać za namiestnika Boga tu na ziemi.

Nikt nie myśli nawet sprzeciwić się w czemkolwiek woli Younga. On jest najwyższym rozdawnikiem najwyższych urzędów i godności, słowo jego działa czarodziejsko i potężnie. Istotnie też zasługuje na to, jako pierwszy przewodnik, jako dusza całej tej wyprawy i późniejszej potęgi Mormonów.

Energią, zrzecznością, wytrwaniem, obfitością skutecznych pomysłów, umie on górować ponad swemi współtowarzyszami, a nieuctwem, błędami, upodobaniami podobny jest ludowi i dla tego stał mu się miły.

Tak więc, Mormoni zmieniwszy myśl, wiarę, i ziemię na której się osiedlili, zmienili także zasadę rodziny. Smith już głosił poligamię, lecz sprawa ta wydawała się z początku tak potworną, że jej zaniechano. Atoli raz osiedleni w Utah, co znaczy: odgraniczeni od wszelkiej ludzkiej uorganizowanej społeczności tysiącem mil, nie wahali się przez usta swego proroka Younga obwieścić nowe objawienie. Postawili jako jeden z punktów

wiary, że w przyszłym świecie, każdy będzie panował nad swemi dziećmi, którzy stanowią będą jego królestwo, że więc im więcej dzieci mieć będzie, tém więcej posiędzie chwały; dalej, że ponieważ lud ich jest ludem wybranym, więc trzeba się starać rozmnożyć go jak najwięcej. Tkwi w tém pojęciu pierwiastek Islamu, czyli teokracja przeniesiona w ognisko rodzinne. Przypatrzmy się postępowi nowej zasady. W r. 1858, 3600 Mormonów miało po kilka żon, 2200 po 4 i więcej, sam Brigham miał ich 17.

Jezeli wielu radowało się jedną tylko żoną, to przyczyną tego szukać w braku kobiet. Ci którzy mogli mieć kilkakrotnie żony, uważani byli za ludzi z małą wiarą.

Bezwątpienia, że podobny stan rzeczy tak nienaturalny, sprawia tysiące cierpień dotkniętym; lecz cierpienia te złagodzone są tém, że kobiety zgadzają się na to własnowolnie; mormonizm zaś głosi, że święty ocala tą świętością i swą żonę, i że tém więcej uchodzi za świętego, im ma więcej żon: dlatego widzieć tam można młode dziewczęta ubiegające się o starych mężów, których liczba lat, a więc i liczba kobiet uzdatnia przed innymi na świętych. Zdarza się także, że żona bogatego błaga go aby jeszcze inne poślubił, gdyż to przyczyni mu świętości; w tym celu sama stara się o rękę dziewcząt i serdecznie ubolewa gdy jej ręki dla męża odmówią.

Fanatyzm wystarcza tu za wszelkie rozumowanie, lubo podróżnicy którzy badali kraj ten i ludzi, zapewniają, że rzadko gdzie spotkać można kraj, w którymby kobiety były enotliwsze i moralniejsze. „Prostytucja jest tam nieznaną wcale, powiada jeden z nich: mężczyźni zajęci są pracami ręcznymi, nie widziałem tam ani próżniaków, ani pijaków, ani graczy, polygamiści są najlepszymi ojcami i mężami.” Słowem, nowe to społeczeństwo żyje z godną podziwu przykładnością.

Zachodzi teraz ostatecznie pytanie, czy tak szczególnie uorganizowane społeczeństwo jest w stanie długo się utrzymać? Ażeby na to odpowiedzieć ile się da, potrzeba przypomnieć, co je właśnie dotychczas trzyma. Powtarzamy, że: 1) odosobnienie od reszty społeczeństw, 2) entuzjazm, fanatyzm, czy jak kto chce nazwać ich wiarę, i 3) zręczność dotychczasowego ich naczelnika. Jezeli więc Brigham umrze, trudno będzie znaleźć drugiego mogącego mu dorównać. To jedno. Co się zaś tyczy entuzjazmu obawiać się trzeba o jego trwałość, gdyż historia nie wykazała dotąd jeszcze ani jednej sekty religijnej, któraby opierając się tylko na entuzjazmie, dłużej nad 100 lat istniała. Nareszcie przypuścić trzeba, że puszcze się zaludniać, a z postępem zaludnienia i cywilizacya w swym biegu niewstrzymanym przeniknie tę odrębną społeczność, a wtedy czyż można ręczyć za utrzymanie się takiego kraju, który się opiera na ponizeniu i upodleniu kobiet, na nieuctwie publiczném, na ustaleniu w tak nienaturalny sposób świętych zasad rodzinnych? Cywilizacya z całym swym gruchoczącym zasobem: umiejętności głębokich, wolności cywilnej i religijnej, małżeństwa

odpowiedniego celom ludzkości, wywrócić musi zlepek sztuczny, trzymany dziś tylko nadzwyczajnemi i naprężonemi środkami.

Nie można nie wysnuć sobie tego sądu, poznawszy dokładnie dzieje tej sekty. Być może, że sąd ten omyli, dziś jednak w każdym razie dziękować sobie może trzeba za to ryzykowne doświadczenie, któremu poddać się chce garstka ludzi na korzyść całej ludzkości. „Takie olbrzymie operacye, jak się wyraził słusznie jeden z krytyków tej sekty, dokonywane na tysiącach, w oczach naszych, niezmierniej są korzyści dla postępującej n przód ludzkości.”

Dla bliższego obznajmienia czytelników, z samą miejscowością podajemy kilka jeszcze szczegółowych opisów dzisiejszych siedzib mormońskich, zebranych na miejscu przez jednego z najszybszych turystów.

I. PRZEJŚCIE PRZEZ GÓRY.

Minąwszy fort Bridger, natrafia się na zejście spadziste, poprzerywane i zieleniejące. Droga jest jeszcze nierówną, zasypaną kamieniami, trudną do rozpoznania; tu i owdzie trzeba przebyć zakrąglony szczyt, tam znowu zagłębić się w przepaści lub brnąć mozolnie po piaszczystym gruncie. Lecz ogólnie rzeczy biorąc, poczynawszy od płaszczyzny ciągnącej się na wzniosłości suchych Sierrów wrogo piętrzących się dla człowieka, droga ciągle jest spadzistą. Niżej trochę, widzi się potoki płynące z gór, i ciasne wąwozy, gdzie dziką szafliwę zastąpiła wysoka trawa świadcząca o żywszej cokolwiek wegetacyi, nawet już i kilka skurczonych krzewów zaczyna się ukazywać w szczelinach i wydrążeniach. Karłowaty dąb i klon przybierają już strój jesienny: fiolet i czarny. Nizkie jodły i cedry przyozdabiają krajobraz, słychać zdala mrużenie wody w mieliznie, długie frenzle balsaminu i wierzb znaczą krętą drogę źródeł płynących wzdłuż brzegów. Już się kończył dzień, gdyśmy szybko minęli Muddy-reek (brzeg błotnisty), już i noc zaskoczyła gdyśmy stanęli przed Quaking-Asp; a jakże zostaliśmy, zdziwieni gdy okrążywszy kręgowaty wzgórek, ujrzelismy nagle taką światłość, jak gdyby dolina i wzgórze zapłonęły w ogniu. To był obóz Mormonów. Setka wózków przysuniętych jeden do drugiego jakby w łuku, a to według systemu przyjętego w biwakach celem obrony przeciw Indianom, zajmuje ponurą dolinę; wierzchołki i szerokie grupy skał zakrywają gwiazdziste niebo. Przed każdym z wózków pali się wielkie ognisko, w okolo którego kręcą się kobiety, mężczyźni i dzieci. Jedni zajmują się wieczerczą, inni tańczą lub śpiewają dla rozrywki. Woły, muły i konie tworzą dziwaczny obraz złożony z szczęśliwych kontrastów formy i kolorów. Psy drzemią przy ognisku, lub biegają naszczekując na pocztę. Trąbki, fujarki i cymbały, zmieszane w jeden chór, rozweselają to dziwne i niespodziane widowisko.

Jeszcześmy nie zeszli z wyżyn płaszczyzny, a już przeczuwalimy, że Eden świętych nie zbyt oddalony; dalej więc zbliżamy się do tej dziwnej doliny jeziora słonego, która przyciąga zarówno wieśniaka francuzkiego jak robotnika z Manchester i biednego żebraka z White-Chapel.

W godzinę potem, przybywamy do stacyi Bear-River (brzeg niedźwiedzia) utrzymywanej przez biskupa Myers, członka angielskiego kościoła Mormonów. Biskup ten posiada tylko 2 żony: jedna z nich mieszka z nim razem. Nadto czeladka biskupa składa się z jednej służącej, z dwóch czy trzech mężczyzn i z jednej angielskiej rezydentki, której serce w wielkim jak mi się zdawało niebezpieczeństwie. Żona prałata jest damą w całym znaczeniu tego słowa, elegancką i ujmującą. Podczas gdy zwilżamy nasze suche gardła, wylewając przytem nie jedno wiadro wody na głowę i twarz, ona z całym wdziękiem pięknej gospośi przygotowuje naszą kolację.

Jakkolwiek głodni byliśmy i zmęczeni, musieliśmy jednak przyznać że ten Myers jest wzorem biskupów dla tego świata dzielnych pracowników. Wyrażenia jego nie celują wytwornością, intonacyi nie ma też zbyt melodyjnej, ręczyłbym także że nie umie po grecku ani słowa; lecz co umie doskonale, to przyjąć i posilić podróżnika, którego noc, zimno i burza sponiewierały do nitki. Nasz biskup podnieca ogień na kominie, dorzuca chrustu, kraje barana (jedyne mięso świeże, jakieśmy od ośmu dni ujrzeli), wychodzi wreszcie dla naczepiania wody i zaopatrzenia naszego powozu w słomiankę, ochraniającą nogi nasze od zimna. Częstuje nas prawdziwą herbatą, smacznym chlebem, nawet masłem w miejsce gotowanej szalwii, ciężkiego pieczywa i szczypty soli któremi nas dotąd częstowano. Kotlety były wyborne, tak iż ta uczta górska, okraszona wdziękiem i grzecznością dam, przeważała najpyszniejszą ucztę naszych wielkich miast.

Opuszczamy więc Bear-River, nie bez szacunku dla tej strony żywota biskupiego i dla tego stanu pracowitego duchownych, stworzonego przez Brigham Younga.

Powóz nasz pędzi po moście Echo-Canyon a pod wiszącą skałą.

Patrząc w nocy przy migocącym się blasku gwiazd jesieni, wydaje się on masą fantastyczną skał, szczytów, urwisk i przepaści, wydaje się dziwacznym widowiskiem zachwycającego wejścia.

Nazajutrz bardzo wcześnie, dosięgliśmy rzeki Weber, gdzie dla zaspokojenia długiego naszego postu, nie dostajemy nic prócz biskoptów i podeszwy, którą nazywają mięsem. Niedługo potem, widzimy przed sobą Coalville pierwszą wioskę mormońską.

Składa się ona z kilku chat z drzewa, z kilkoma próbami ogrodów i kilkoma zasianymi polami. Dzicy Utezyccy i inni posiadacze kilka lat przeltem tej puszczy, polowali tu na łosie i ob-

dzierali sobie najswobodniej skórę. Znaleść tu można węgiel kamienny, trochę wody i trochę drzewa. Nasz przewodnik objaśnia nas, że te chaty mormońskie które mają dwoje drzwi, oznaczają że właściciel ma dwie żony; troje drzwi oznacza trzy żony i t. p.

Gdyśmy sobie przypomnieli te wyschłe pola któreśmy przebyli, naszą podróż sześciodniową po przez urwiska i przepaście, musieliśmy uwielbiać odwagę, wytrwałość i fanatyzm ludzi, nie wahających się iść w zapasy z tą straszną doliną.

Oto i Coalville, miasto a raczej zarodek miasta w pośród gór, wyrosło ono w głębi dzikiej przepaści, którą przekleli inżynierowie i turyści jako niezdolną wyżywić człowieka lub zwierzę. A teraz! Sér rozwoju w taczkach ponad brzegiem, woły spasa się na wzgórzach, psy czuwają przy chatach, wieprze grzebią ziemię, kury skaczą w około brzegu, a konie parskają w podwórzach. Dzieci różanego lica, oczu niebieskich, włosów złocistych, zdradzających pochodzenie angielskie, bawią się przed drzwiami, przewracając się na słońcie; młode dziewczątka od 9—10 lat doją krowy, chłopaki w tymże wieku popędzają konie, kobiety zajmują się kuchnią i praniem, mężczyźni zbierają kartofle lub owoce, łupią drzewo albo przerzynają deski.

Wszyscy zajęci pracą, wszystkim idzie robota żwawo i korystnie.

Z pomiędzy zielonych gałęzi, dojrzyć można wychylający się łuk pięknego białego kościoła.

Trochę niżej ku dolinie, panorama się rozszerza, widać liczne trzody rozpierzchnięte na ogromnych pastwiskach. Przejeżdżamy obok hotelu Kimballa (stacya pocztowa) utrzymywanego przez syna Hebera Kimballa. Człowiek to bogaty, wyznający wiarę mormońską, a który się schronił w te góry ze swemi trzodami, fortuną i swemi trzema żonami. Utrzymują, że go apostołowie wypędzili z miasta świętego, jako pijaka i sprowadzającego zgorszenie publiczne. Święci są, jak mówią, nie ublagani dla występku: za den węzeł rodzinny nie ochrania winnego przed wyrokiem kościoła.

W Mountain-Dell, mieszkaniu biskupa Hardy, posiadającego żon ośm, z których trzy mieszkają z nim razem w tej opustoszałej siedzibie w pośród gór, napotkaliśmy małego Indyanina z plemienia Utów. Ten mały dziki, przedany przez swego ojca i w ten sposób oderwany od zatrudnień swojej rasy, nawrócony został na mormonizm i przyrzekł sprawować się bardzo pięknie. Na nas robił on wrażenie chłopca bardzo przytomnego, zdolnego zaznaczyć różnicę między wilkiem dzikim a kotłem z barana. Nie nawidzi on z całego serca czerwonoskórnych Indyan, swych tatuowanych braci. Jedna z żon biskupa opowiadała nam, że młody ten mormon kupiony za kilka dolarów, nie jest bynajmniej głupim; że pracuje, gdy go do tego przymuszają; lecz że jest z usposobienia eniwym, a śpi z wielką lubością na słońcu; że kocha się w koniach

i jest dobrym woźnicą, słowem że tkwi w nim materyał na cale dobrego służącego.

Mormoni mają sobie właściwe pojęcia o pochodzeniu czerwono-skórnych Indyan. Uważają ich jako gałązkę ludu hebrajskiego która porzuciła Palestynę ażeby się osiedlić w Stanach Zjednoczonych, i to w epoce, w której lud ten dzierżył jeszcze władzę kapłańską. Później, skutkiem nieposłuszeństwa, wygnancy ci nie tylko stracili władzę kapłańską ale i białosć swęj skóry, żywy polot imaginacyi i szlachetność fizyognomii.

Ztądto klątwa niebios ciąży nad niemi i nad ich rodem. Pochodzą oni z rasy poświęconej, która zasłużyła sobie na gniew niebios. „W jakimś czasie, którego termin zależy od Boga, mówił mi Brigham, łaska zostanie im przywróconą: wówczas przestaną złe wyrządzać a nauczą się czynić dobrze; wówczas osiedlą się w miastach, staną się na nowo białymi i postępować będą jak przystoi na naród kapłanów.” Istotnie jednak, potrzebaby co najmniej cudu ażeby przemienić Utezyka albo Pawniana w coś coby cokolwiek chociaż podobnem było do Aarona lub Jozuego.

Przed ostatnią wojną cywilną, przed zniesieniem niewolnictwa w Ameryce, ogłosili święci prawo terytoryalne pozwalające kupować dzieci indyjskie obojga płci, celem chrzczenia ich według rytuału kościoła mormońskiego, i celem nauczania ich jakiegoś pożytecznego rzemiosła. Czerwonoskórni Indianie nie bardzo się skłaniają do sprzedaży swych dzieci, można jednak w dolinie spotkać wielką liczbę tych młodych dzikich, ulegających powyższemu prawu. Dzisiaj, są oni naturalnie tak wolnymi jak biali, lecz jeszcze leniwi, jeszcze okrutniejsi i przebieglejsi.

Zona biskupa, której nie jeden zawód otworzył oczy, poczęła wątpić o doskonałości planu rządowego pragnącego odrodzenia Utów i Bannocksów; przyznaje ona że klątwa wisi nad tym rodem, lecz ma nadzieję że gdy ta będzie zdjęta, że wtedy czerwonoskórni staną się pracowitymi i postępować będą po ścieżce zbawienia; lecz i tego nie tai przed sobą, że tylko od Boga a nie od ludzi zawisło to polepszenie. Droga prowadząca od Mountain-Dell do bassinu jeziora słonego, otwarła się przed nami nagle i niespodziewanie. Obraz roztoczony przed naszymi oczami i to z której-bądź spojrzelśmy strony, stanowi jedno z sześciu czy siedmiu panoram przepysznych, istniejących na tej ziemi. Nie można się więc dziwić, że biedny wygnaniec, wyszły z lochu z Liverpool lub z piwnicy z Blackwell, mając nadto wyobraźnię podbudzoną zapalem religijnym i umartwieniami, sądzi się nagle przeniesionym do rajy ziemskiego.

U stóp śnieżnych wyżyn gór Wesatch, rozciąga się szeroka płaszczyna, sięgająca na północ aż po siny horyzont. Zdaje się, że aureola złożona nieźrównanego bogactwa, pokrywa całą dolinę: są to niezliczone słoneczniki rozsiane szczerze tak jak nasze stokrotki, lecz oświecone słońcem zwrotnikowem; dalej jeziora, stawy i nieprzeliczone strumyki; na lewo można dostrzedz wznoszą-

ce się aż po obłoki pasma gór, które Indyanie zowią *Oquirrh*. Na wprost nas wychyla się świetne miasto, nowa Jerozolima ze swą zieleniejącą opaską. Po nad miastem płynie Jordan przerzynający płaszczyznę na to, ażeby donieść świeżej wody z Utah do jeziora słonego, którego niebieska powierzchnia raz zaciemnia, to znowu odświeża niezmierną dolinę. Z samego nawet jeziora, mającego sto mil angielskich wszcz a 150 wzdłuż, wyrastają dwie pagórkowate wyspy, purpurowej barwy: wyspa Antylopy (dziś wyspa Kościoła) i wyspa Stansburg. Po bokach i po nad lazurem jeziora biegą czarne góry, nieregularne i malownicze: wysokości wyschnięte Utah i Newady.

Atmosfera czysta i łagodna, tchnie świeżością i wonią powiewów morskich północnych, pożycza świeżości z gór spuszczaających się z szczytów Wasathu, gdzie śnieg i lody całe trwają lato. Powietrze jest tam tak przezroczyste, że Black-rock (czarna skała) położona o 25 mil od jeziora słonego, zdaje się wyrastać na kilka tylko łokci odległości; wierzchołki zaś rozdzielone jeden od drugiego na 60 mil, zdają się należeć do jednego pasma.

Niżej cokolwiek w dolinie, złocista aureola kąpie cały krajobraz w jakiejś słodkiej jasności. Miasto ma pozór szerokiego parku, w którym uderza ogromna liczba zbitych do siebie drzew ciemno-zielonej barwy, rozdzielonych tu i owdzie jakimś kioskiem białym, jakąś kapliczką lub innym budynkiem. Po nad miastem, na wysokości górującej po nad niem, rozciąga się obóz ze swemi namiotami i barakami. Obóz ten uzupełnia obraz, a barwa jego wpada w żółtawą, białą i zieloną krajobrazu.

II. NOWA JEROZOLIMA.

Marzenia nocne i odkrycie źródła tryskającego z boku wzgórza, rozstrzygnęły wybór miejsca na nową Jerozolimę. Źródło to nie płynęło szerzej jak Xenil, który dał początek Grenadzie przemieniając wyschlą ziemię w ogród. Brigham Young opowiadał, że przebiegając góry w poszukiwaniu nowej ojczyzny dla swego ludu, widział we śnie anioła, który stojąc na wzgórzu pochyłym wskazał mu miejsce, gdzie się miała wzniesić świątynia Mormonów. Prorok, zwiedzając koryto jeziora słonego, zaczął od poszukiwań ostrokręgu który spostrzegł. Skoro go tylko dojrzał, dojrzał zarazem źródło wody czystej wytryskujące z podwalin skały, które też nazwał: „Przystanią miasta.” Jerzy Smith i inni pionierowie zwrócili źródło ku gruntom pokazniejszym, gdzie zasadzili kartofle; poczem, poszli na północ, oznaczyli granice świątyni w formie ogromnego kwadratu. Kwadrat ten dziesięć-morgowy jest jakby sercem miasta, miejscem świętem Mormonów, *haremem* młodej Jerozolimy Zachodu.

Nowe miasto rozciąga się między dwoma wielkimi jeziorami, jeziorem Utah i Słonem, tak jak miasto Interlacken mię-

dzy Brienz i Thun, jakkolwiek odległości są daleko znaczniejsze. Dwa morza wewnętrzne Utahu mogą uchodzić za rzeczywiste morza, jeżeli je porównamy z ślicznymi jeziorkami Alp berneskich. Rzeka nazwana dziś Jordanem, płynie z Utah ażeby wpaść do jeziora Słonego; lecz zaledwo tylko zmywa kończyńy miasta, a ponieważ spływa w niziny doliny, więc aż dotąd nie stała się pożyteczną dla irygacyi. Brigham Young powziął myśl kanału ciągnącego się z jeziora Utah do miasta, a bieżącego z dolnemi płaszczyznami pasma Wasatchu. Wykonanie tego planu kosztować będzie bardzo wiele, lecz użyźni niezmierną przestrzeń ziemi. Jeżeli miasto będzie się mogło swobodnie rozwijać i jeżeli kanał wkrótce będzie przekopany, to grunta w których dziś tylko kamienie, piasek i szalwia, porosną niedługo w winnice i ogrody.

Miasto zajmujące, jak mówią, trzy tysiące morgów, między górami i rzeką, podzielone jest na części dziesięciomorgowe z podpodziałem pięciomorgowym, który ostatni uważany jest jako dostateczny do utworzenia chaty i ogrodu zwykłej wielkości. Co się tyczy świątyni, jeszcze jęj nie zbudowano. Położono dopiero fundamenta, są one z massywnego granitu; dziesięć morgów zostawionych na Sanctuarium (ołtarz) zajęte już pierwszemi robotami. Wyniosły mur otacza te budowle, nędzny to mur, słaby i bez wszelkiego zakroju sztuki, podobny raczej do muru z błota anizeli do roboty mularskiej. Gdy już roboty ukończone zostaną, urządzią cieniste aleje i parter kwiatowy.

Kwadrat przeznaczony dla świątyni, służył do narysowania planu całego miasta. Z każdej strony tego ogrodzenia, wychodzi ulica szeroka na sto stóp, która postępuje ku płaszczyznie, ciągnąc się w linii prostej. Ulice równoległe, takieżże szerokości, błyszczą się z północy i południa, ze wschodu i z zachodu. Wszystkie zasadzone robiniami, roszone podwójnym biegiem wody pochodzącym ze źródeł wzgórza. Ulice te na północ dochodzą aż do gór, i jeżeli nie dochodzą do jezior, to z braku mieszkańców. Na papierze i w imaginacyi ognistej kilku zagorzałych, przestrzeń ta całkiem już jest wypełnioną.

Wielka ulica wychodzi od kościoła. Ulica ta zapełnioną jest białemi domami prywatnemi i sklepami. Chciano z niej z początku zrobić ulicę arystokratyczną miasta i zwała się „Ulicą Wschodnią świątyni.” Tam znajdowały się także bióra dziesięcin, hotel Rady, rezydencye Younga Kimballa i Wellsa, trzech najgłówniejszych reprezentantów kościoła mormońskiego.

Z początku piękne tu rosły drzewa, lecz kupcy zmusili Younga i świętych do cofania się; wexlarze, restauratorowie i tancieciarze opanowali całą tę przestrzeń. Poświęcono piękne drzewa dla ułatwienia pakowania i expedyowania towarów. Ogródki ślicznie utrzymane, zapełnione brzoskwiniami i jabłoni okalającemi domki z cegły, ustąpiły miejsca wystawom sklepowym i szyldom przekupniów. Część kupiecka miasta ulicy Wielkiej,

jest szeroką, zakurzoną, niebrukowaną i źle budowaną. Ulica ta daje próbkę każdej z trzech faz każdego amerykańskiego miasta; możnaby nazwać te trzy fazy: wiekiem drzewa, wiekiem cegły i wiekiem kamienia. Wielka liczba najpiękniejszych domów jest z drzewa, większa z *adobe* z pacy, to jest z cegieł wyschłych na słońcu, jak to zwyczajem bywa w Egipcie, i jak to praktykuje się dziś w Kalifornii i Meksyku; bardzo mało z czerwonego kamienia i z granitu. Pałac rady jest z czerwonego kamienia, tak jak i wielkie magazyny Golda, Ilmünga, Gilberta, Clawsona, gdzie sprzedają wszystko jak w tureckich bazarach: lichtarze, wino szampańskie, proszek złoty, materye, herbatę, scyzoryki, konserwy mięsne i łapki na myszy. Sklepy pomniejsze (cukierników, siodlarzy, perukarzy) restauracye, hotele i domy prywatne pierwszego rzędu, budowane są z cegły suszonej na słońcu. Domy budowane z *adobe* ulegają wprawdzie rozpadnięciu przy wielkich deszczach, lecz są na oko błyszczące, w zimie wygodne, w lecie świeże. Można dostrzedz jeszcze kilka nieforemnych chałup, zabytków z pierwszego wygnania. Trochę niżej, ku południu, oko ginie w przestrzeni, drzewa znów się pokazują.

Nie lepiej nie wskazuje różnicy w środkowej i ruchliwej części tego miasta, między tym miastem a Kansas, Leavenworth lub Denver, jak zupełny brak kramików. W hotelach nie ma bufetów, na ulicach nie ma domów gry ani rozpusty, ani żadnej winiarni. W hotelu w którym stanąłem, utrzymanym przez pułkownika Little, jednego z dawnych kościoła mormońskiego, nie można dostać ani wina, ani piwa, ani likieru. Dają herbatę trzy razy dziennie. Nie zapraszają tutaj bezustannie do wypicia: *claret-cobber*, *whisky-bourbon*, *Tom and Jerry*, *mint-julep* i innych napojów; pod tym względem olbrzymia różnica między tym miastem a Leavenworth, gdzie na 3 domy zliczysz jeden szynk.

Po przebyciu części kupieckiej miasta, natrafiasz na plantacye, któremi Brigham chciał przyozdobić wszystkie swe ulice. Szeregi akacyj zacieniają brzegi strumyków; domki są odległe na 30—40 stóp od gościnca, sklepienia znikają jakby przyduszone zielonością brzoskwiń, jabłoni, winogron, a wszystko to podniesione blaskiem świetnym róż i słoneczników.

Po prawej i lewej wielkiej ulicy i równolegle, biegnie wielka liczba dróg całkiem sobie podobnych. Gościniec twardy i pełen kurzu, wilgocony małemi strumykami, zasadzony robiniami, bawelną i filareą. W każdym podziale wyżej oznaczonym, wznosi się domek otoczony drzewem owocowem. Kilka z tych mieszkań dość wielkich i ponętnego pozoru, płaciłyby się bardzo drogo w Europie. Inne są tylko chałupkami o 4—5 pokojach, w których rodziny polygamiczne w razie kłótni, miałyby wielki kłopot gdzie stanąć na okolo walczących. W niektórych sadoch widzieć można ładniutkie szalety szwajcarskie: są to mieszkania niektórych żon właścicieli. „Do kogo należą te domki? pytali-

śmy się chłopca wskazując na kilka willi ulicy Wielkiej." „Do rodziny brata Kimballa" otrzymaliśmy odpowiedź.

W części miasta wyżej położonej, dostrzegliśmy ogrody Hirama Clawsona, także jednego z dawnych kościoła Mormonów. Rozkoszny to ogródek; brzoskwinie, śliwki i smaczne jabłka jakie tam dojrzewają, dostawały się i nam podczas pobytu naszego w tem mieście, cośmy zawdzięczali najmłodszej żonie Hirama. Od frontu wysuwa się wielki dom zamieszkanym przez pierwsze żony świętego i przez jakie 20 ich dzieci. Ale najrozkoszniejszym białem schronieniem, któreśmy dostrzegli w kąci, schronieniem zastoniętym prawie różami i wijącym się kwieciami, jest siedziba najmłodszej żony Hirama, Alicyi, jednej z córek Brigham Younga. Tutaj usłała sobie zaciszne gniazdko, w którym żyje wraz z czterema małymi chłopczkami. Powiadają że rozporządza ona wolą swego pana i męża, prawie tak jak córka sułtana rozkazująca w haremie. Nesbit, Anglik nawrócony na wiarę mormońską, zamieszkuje ze swymi dwiema żonami i licznym ich potomstwem, prześliczny domek położony na wyżynach miasta, na wprost domu Clawsona. Wielka część miasta składa się dziś jeszcze ze świeżych gaików i sadów, oczekujących właściciela któryby je ożywił.

W *First South Street* (pierwsza ulica południa) wznosi się teatr i ratusz, piękne budynki, budowane w stylu niebardzo rozpowszechnionym w Ameryce Zachodu.

Ratusz służy za punkt siedziby policji i sprawiedliwości. Policja mormońska szczyti się agentami milezącymi a sprężystymi, którzy czuwają wszędzie, a rękę mają skora do pochwycenia za kołnierz złoczyńców. Nie ma tak drobnego faktu, o którymby nie wiedzieli. Jeden z moich znajomych, wracając przez ciemne ulice z teatru, zaczepił damę mormońską dobrze sobie znajomą. Nazajutrz otrzymał w swoim hotelu wizytę pewnego gentelmana, upraszającego go usilnie ażeby już nie zaczepiał rozmową owęj damy po zachodzie słońca, chyba gdyby szła z ojcem. W porze zimowej, znajduje się prawie zawsze 700—800 kopaczy w mieście, i takąż liczba młodych Skandynawów. Każdy z nich z nożem u pasa, z rewolwerem w rękę, wrzeszczy w niebogłosy żądając piwa, whisky, kart i kobiet tyle ile im potrzeba. Wszystko to uchodzi u świętych za przedmiot zbytkowy, którego też żądającym nie chcą wydać. Policja trzyma burzliwych na wodzy, a sprawia się tak dobrze, że sędziowie Zachodu mocno się dziwią tej sztuce obchodzącej się bez rozlewu krwi. William Gilpin, gubernator w Colorado i inni, mają tylko pochwały dla agentów takiej policji surowej i tajemniczej, lecz czynnej i zręcznej.

Co się tyczy sądów, nie mieliśmy sposobności zapoznać się z nimi. Jeden z sędziów, któregośmy raz spotkali zaprosił nas bardzo grzecznie ażebyśmy się przysłuchali wydawanym przez niego wyrokom. Rozmawialiśmy w korytarzu, czekając przy-

wołania pierwszej sprawy; gdy się jednak dowiedział, że należymy do linii obronczej Albionu, drapnął odesławszy wszystkie strony do domu. Sędzia ten, gdy czynności sądowe nie wymagają jego obecności, przepędza wolne chwile na sprzedaży korzeni na ulicy Wielkiej. Znając dobrze jego sklepik, zachodziliśmy nieraz do niego na szklankę seltzu i na wypalenie cygara, ale nie udało się nam odtąd nigdy ujrzeć go przy spełnianiu obowiązków sędziego.

Miasto posiada dwa źródła siarczane, powyżej których kazał Brigham Young pobudować baraki z drzewa. Wstęp do jednej z tych łaźni nie kosztuje; woda mająca własność rozwalniającą i odświeżającą dochodzi do temperatury 92 stopni Fahrenheita.

Na ulicach nie spostrzeczysz żebraka, rzadko kiedy pijaka, a zawsze jest nim żołnierz, obcy, lub kopacz. Nikt nie wygląda na ubogiego. Mieszkający są daleko łagodniejsi i grzeczniejsi aniżeli wszyscy inni w okolicach Zachodu. Drzewa, woda i bytło nadają ulicom cechę pasterską, którejby nadarmo szukać w innem mieście gór albo równin. I tak: na dole, pod robinjami, wół którego spędzono z paszy, tam dalej krowę dei pyzate chłopię, tu i owdzie stoją lekkie wózki gotowe do drogi w strome góry. Wygnańcy ogorzonego lica, powracający z łąk, układają się pod akacyami, uprzyjemniając sobie leżenie moczeniem nóg w zimnej wodzie strumyka.

Ulica Wielka, centrum ruchu, nastrocza więcej jeszcze scen malowniczych. Trzeba ją zwłaszcza widzieć wtedy, gdy przybywa grono wygnańców. Właśnie w chwili gdy piszę, taki się rozwija udratyzowany obrazek przed memi oczyma: karawana, którąśmy prześcignęli ponad Bear-River przybyła do celu swęj podróży. Składa się z 60 wózków, z 400 wołów, i z 600 dusz, kobiet, mężczyzn i dzieci, wszystko anglicy i francuzi. Wózki zapełniają ulicę, bydło rozciąga się na słońcu, ludzie zdają się weseli i ożywieni, i nie dziwnego po ukończeniu tak dalekiej podróży, po przez morza, przez Stany Zjednoczone, łąki i góry. Kobiety i dzieci wyglądają wychudnięci i zczerniali. Kurz, błoto, zmęczenie, i niedostatek nadają im wyraz dziki i nadnaturalny. Z prawdziwym mozołem uda się rozpoznać w tych malowniczych grupach okrytych łachmanem, roztrzonego rolnika z Montmouth, starannego rzemieślnika z Woolwich, lub wyświeżonego robotnika Londynu. Przed magazynami zdejmują ładunek z mułów. Kopacz z Montany i z Idaho w ogromnych butach, ściśnięci w pasie szerokimi trzosi, wciągają się koło nowoprzybyłych. Gromada Indian długowłosa, napólnaga, milcząca, targuje się o towar najpośledniejszy i najtańszy. Oto ijezdziec, przybrany w sombrero, na dzielnym koniu roznosi tumany kurzawy: to Meksykanin; tu znowu dandys z Kalifornii a tam dalej dwóch oficerów z pobliskiego obozu, w niebieskich mundurach.

Atmosfera przeczysta, cudownej przejrzystości. Deszcz rzadko pada w dolinie, mimo że codziennie burze huczą w górach. Wówczas chmura wznosi się ku górcom zachodnim, grzmi ponad

brzegami, groząc potopem miastu, a gdy się rozleje w ulewę i rozproszy w burzę, bieży dalej ku góróm Wasath, skropi szczyty i ginie w śniegach dalekiego widnokregu.

III. TEATR MORMOŃSKI.

W Londynie, Paryżu czy Nowym Yorku kościół nie pozwoliłby teatrowi nabrać takiej przewagi, jakiej tenże używa u Mormonów. Brigham Young z wielu względów, nie ma ani wzoru ani poprzedników. Jako wielki kapłan całkiem nowej religii, urządził swój teatr wprzód jeszcze, zanim się fundamenta świątyni z ziemi podniosły.

Każdemu wiadomo, że sztuki dramatycznej początku szukać trzeba w religii, i że komedję nazwano: „Szkołą obyczajów.” Brigham chciał się widocznie we wszystkim oprzeć na zasadach pierwotnych; tak co do życia familijnego cofnął się do Abrahama, co do życia społecznego do zasad Tespijskich.

Kapłani dali początek teatrowi starożytnemu i nowożytnemu. Ponieważ doświadczenie dowiodło, że tak w mieście Mormonów jak i w Nowym Yorku ludzie lubią się bawić, śmiać i wzruszać, dlaczegożby więc naczelnicy ludu nie skorzystali z tyśiąca sposobności nadarzających się za pośrednictwem sceny i nie pozwolili ludowi wzruszać się przedmiotami które ich wzruszyć powinny? Dlaczegożby równie Brigham nie posłużył się teatrem, ażeby głosić moralność?

Dlaczegożby nie wyćwiczył swych aktorów i swe aktorki w ten sposób, iżby z nich stworzyć wzory cnoty, nauczycieli wymowy i elegancyi? Dlaczegożby wreszcie nie miał się starać o pogodzenie uczuć religijnych z przyjemnością?

Być może, że Young przesadnie wyobraża sobie korzyści jakie osiągnąć może z przedstawień teatralnych w mieście, gdzie dopiero istnieją szkoły elementarne; lecz bądź co bądź, postanowił doświadczenie doprowadzić do końca. Wystawił przeto teatr, a obecnie sili się na złożenie trupy wzorowej.

Zewnątrz, teatr ten jest budynkiem doryckim dość niezgrabnym, w którym jednak architektowi udało się osiągnąć efektu za pomocą bardzo prostych środków. Wnętrze, dobrze wentylowane niema ani łóż, ani firanek, z wyjątkiem dwóch łóż podpartych kolumnami; głębia biała z kilkoma ozdobami, przyczynia się wiele do nadania sali charakteru lekkości. Parter, przychylony aż do orkiestry, pozwala wszystkim widzom widzieć dokładnie, to też miejsca parterowe są najwięcej cenione, niektóre zaś ławki są wynajęte różnym rodzinom. Tamto można widzieć każdego wieczoru duchownych i biskupów otoczonych żonami i dziećmi, śmiejących się i klaskających ze swobodą studencką. Fotel poręczowy, ustawiony w środku parteru, zachowany jest dla Younga gdy ma ochotę

przyjść zabawić się między swoimi. Gdy woli zasiać w łoży, jedna z jego żon, Eliza poetka, Henryetta blada, Amelia wspaniała lub inna, kołysze się tymczasem w fotelu proroka, śmiejąc się głośno podczas sztuki. W okolo tego honorowego miejsca, ustawione są ławki dla dygnitarzy, mających prawo otaczać swego szefa jako dla Hebera, Kimballa, pierwszego rady, Daniela Wellsa drugiego rady i naczelnika siły zbrojnej, Jerzego Smitha apostoła i historyka kościoła, Jerzego II Connona apostoła, Edwarda Huntera biskupa prezydenta, dawnego Stenhouse redaktora naczelnego *Dajly Telegraf* i dla wielu innych Mormonów drugiego rzędu. Z każdej strony sceny znajdują się dwie łoże, których się ze sali nie widzi: jedna jest łożą w której siedzi prorok gdy chce pozostać sam i rozmawiać spokojnie z przyjacielem, druga służy dla młodych dziewcząt, których imiona figurują na programie wieczornym a które się tam sadowiają dopóki nie zawoła ich na scenę rola. W ogóle, obmyślano tu dobrze wszelkie wygody dla każdego.

Dzięki staraniom i czujności dyrektora Hiram Clawsona, można powinszować Brighamowi, że stworzył ze swego teatru coś, co się zbliża do marzonej doskonałości. Poza szeregiem lamp wszystko idzie najdokładniej, zgoda i jedność panują w pośród najhuczniejszej wesołości. Ani w sali, ani w przysionkach sali nie dostrzedz zamieszania scen, nieporządku tak kompromitujących teatr Drury-Lane, ani też owych kobiet nieporządných, ani dzieci w lachmanach, ani pijaków. Ponieważ Mormoni nie piją gorących trunków a i palą rzadko, więc pozwalają sobie jedynie a niewinnej rozkoszy, to jest wysysania brzoskwiń. Przekładają także nad inne: krótkie kazania i krótkie sztuki. Zasłona podnosząca się o 8 godzinie, spada o 10 i pół, poczem Mormoni mający zwyczaj wieczierzenia przed teatrem, idą na spoczynek. Nigdy też rozrywka nie przerywa pracy, która ich czeka nazajutrz: już o szóstej rano rozlega się dzwonek wzywający na śniadanie.

Lecz podziwiać trzeba dopiero to, co się znajduje poza zasłoną, a mianowicie: szerokość kulis, doskonałe oświetlenie, czystość nadzwyczajną. Znam kulisy i korytarze scen europejskich; lecz ani we Włoszech, ani w Austrii nie dbali architekci tak pieczołowicie o dobro aktorów i aktorek co tutaj. Garderoba artystów to prawdziwy salon. Dekoratorowie mają pracownię przyzwoitą, kostiumiery zaś i przełożony nad akcesoryami mają ogromne magazyny. Każda aktorka, jakbądź podrzędną gra rolę, ma swoją garderobę gdzie nie wolno wchodzić nikomu.

Brigham pojął, że jeżeli chodzi rzeczywiście o reformę teatru, to potrzeba przede wszystkim zacząć od kulis. Przed oczyszczeniem sceny, potrzeba rehabilitować artystów, dlatego to zbudował salę do przebierania się i łożę dla swych aktorek. Lecz uczynił więcej jeszcze, bo na zachętę i przykład, powierzył rolę własnym córkom. Trzy z tych młodych sułtanek, Alicya, Emilia i Zina, należą do towarzystwa. Miałem zaszczyt być przedstawiony najmłodszej, żonie starego Clawsona, a wkrótce zostaliśmy przyja-

ciółmi. Objaśniła mnie ona w wielu punktach co do reformy i idei ojca jej o teatrze.

— Co się mnie tyczy—mówiła—nie lubię występować w komedjach, lecz ojciec mój życzy sobie ażebyśmy ja i siostry moje grały kiedy niekiedy, zdaje mu się albowiem że niema prawa żądać tego samego posłuszeństwa tylko od dziewcząt ubogich.

Brigham Young nie tylko musiał teatr reformować, ale po prostu go stworzyć.

Każdy dyrektor teatru mocnoby się czuł zakłopotanym, gdyby musiał szukać artystów po teatrach, z których najbliższy oddalony jest od niego na 700 mil. Artysty szukać trzeba wszędzie: w sklepie, w pracowni, za komptoarem, w córce rolnika, bo kobiety bogate pogardzają stanem aktorskim.

W Nowym Yorku, w Saint-Louis, w Chicago, teatr nie koniecznie słynie jako szkoła cnoty, a zawodu aktorki nie wybierają dotąd jeszcze ojcowie z przyjemnością dla swych córek; to też i Brigham nie tai przed sobą, że usiłowania jego uczynienia teatru szkołą obyczajów, mają do walczenia z zastarzałym przesądem społecznym.

Jakieś obłoki niemoralne unoszą się nad teatrami całego świata, a miasta Ameryki Północnej mają sobie pod tym względem najwięcej do zarzucenia. Złe to pochodzi ze złych tradycyi, ażeby mu więc zaradzić, poświęca Brigham część siebie, to jest własne dzieci, jedyne osoby zdolne przeprowadzić w tej dolinie dzieło odrodzenia w tym kierunku. Z tej też wychodzą zasady, można Alicyę i Zinę słusznie uważać jako dwie kapłanki, dwie dziewice obciążone obowiązkiem oczyszczenia sceny z dawnego plugastwa.

IV. ŚWIĄTYNIA.

Teatr spełnia tutaj w życiu społecznym także zadanie jak kościół w życiu religijnym. Pierwszy jest symbolem przyjemności ziemskich, drugi typem przyszłej chwały. Salę widowisk zbudowano pośpiesznie, ponieważ widowiska należą do tych rzeczy, na które trudno czekać; świątynia przeciwnie będzie zbudowaną powoli, z powagą, jaka przystoi dziełu mającemu trwać wiecznie.

Mormoni pochlebiamy sobie, że mają dosyć religii we krwi, ażeby się obejść w razie potrzeby bez form religijnych. Słyszałem raz kazanie Bryghama do gromady wygnańców, i wyznaję, że praktyczna strona tego przemówienia byłaby mnie mocno zdziwiła, gdyby nie moja poprzednia znajomość proroka, która mnie już należycie przygotowała. Oto mniéj więcéj tak się ono da streścić: „Bracia i siostry w Chrystusie! Pan wybrał was, a łaska Jego przywiodła was przez góry aż w tę tutaj dolinę, gdyż pragnie On przyspieszyć dojsie do skutku swego królestwa tu na ziemi. Zmęczeni jesteście i słabi po tak długiej wędrówce.

Odpocznijcie jeden dzień, dwa dni, gdy tego będzie potrzeba! A potem powstaniecie i postarajcie się o sposób do życia. Nie łamcie sobie głowy nad obmyśleniem waszych obowiązków religijnych, gdyż Bóg wybrawszy was celem odrodzenia, nie porzuci was. Rozpatrzcie się w dolinie, gdzie was przywołała Opatrzność.

Pierwszym waszym obowiązkiem będzie nauczyć się jak rośnie kapusta, a przy kapuście kartofel, a przy nim pomidor i cebula. Potem nauczcie się wyżywienia nierogacizny, budowania domów, uprawiania ogrodów, hodowli bydła i pieczenia chleba, krótko mówiąc, pierwszym waszym obowiązkiem jest: żyć. Potem ci z pomiędzy was którzy nie mówią tylko po duńsku, francuzku i niemiecku, powinni nauczyć się angielskiego, tego języka Boga, języka księgi Mormonów, języka nowych świętych. Zaczniście od tych rzeczy, reszta przyjdzie z czasem. Niech będzie Bóg z wami i pokój Pana Jezusa Chrystusa."

Śmiało twierdzić można, że żaden naród w świecie nie łoży tyle pieniędzy na budowie kościelne co Mormoni. Dobrowolnie składają na kościół dziesięcinę ze wszystkich produktów; pierwszóm zaś poleceniem jakie dają święci prozelytowi jest praca ręczna, jako ofiara, przez którą, według praw boskich, człowiek oczyszcza się z plam grzechu i otrzymuje spokój wieczysty. Święci pracują z zapałem, który inni obracają na polemikę. Nie pogardzają dyskusyą, lecz przekładają motykę i rydel.

Dlatego rosną oni w pomyślność, gdzieby inni marnie zginęli z głodu. Inżynierowie utrzymujący, że setki innych ludzi nie znaleźliby w tej dolinie środków wyżywienia, nie mylili się tak bardzo, jak mógłby przypuszczać ktoś który się już przypatrzył dziełu Younga. Bridger stary kopacz gór Wasath, nie marnował nieopatrzenie pieniędzy, gdy ofiarował po 1000 dolarów za każde ziarno zboża zebrane w tej dolinie. Ci którzy uważali tu kolonizację jako niemożliwą, myśleli zapewne o ludziach zwyczajnych kierujących się pobudką zwyczajną i pospolitą, i mieli słuszność, gdyż tacy zginęliby w tych pustkowiach. Ziemia jest tutaj tak suchą, tak nieplodną, że mimo namietności pracy Mormonów, nie mogą oni uprawiać naraz więcej jak cztery morgi, podczas gdy mieszkańce Kansas lub Missouri uprawiają ich z łatwością czterdzieści. Gdyby nie nadzwyczajna czynność i pracowitość Mormonów, musieliby oni tak jak Denver, najdalej w przeciagu dwóch lat prosić o żywność Stany Ohio albo Indyany.

E. Lubowski.

